

Katedra

fragment

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen. Izmiraidy na wyciągnięcie ręki, 70 dni od perilevium, burza za 112 godzin. „Rozmaryn” już prawie zrównał wektor prędkości z ich wektorem, widać Katedrę, mam ją na suficie, obraz czasu rzeczywistego. Zamykam i otwieram oczy i spada na mnie drapieżnym ptakiem, chuda szyja, rozłożone szeroko skrzydła wież, kościste szpony, szkielet korpusu.

Zażyłem podwójną dawkę stupaka, głowa mi pęka w nieważkości. Próbowalem czytać Fereta, ale gubiłem wątek po kilku zdaniach. Kurtuazyjne rozmowy z Mirtonem. To czarter i lecę nim tylko ja i doktor Wasojfemgus, który praktycznie nie wychodzi z zaślepu; więc lecę sam. Dialoguję z „Rozmarynem”, gdy tak snuję się po jego wnętrzu, sztuczny dzień, sztuczna noc. Ma bardzo sympatyczny interfejs. Czasami podczas ćwiczeń w siłowni, otumaniony dokrewnymi wydzielinami, omal zapominam, że to tylko program. Posiada swoje priorytety. Pilnuje, bym nie czuł się samotny i wciąga mnie w rozmowy na tematy, o których myśli, że mnie interesują.

– Więc sądzi ksiądz, że to nie był święty i żadne cuda nie miały miejsca? – pyta znienacka.

– Nie mam wyrobionego zdania – odpowiadam.

– Och, na pewno ksiądz ma – śmieje się „Rozmaryn”.

– A co ty sądzisz? – odbijam piłeczkę.

„Rozmaryn” chwilą milczenia daje do zrozumienia, że się namyśla.

– Sądzę – zaczyna – że o ile był w owej chwili niepoczytalny, było to szaleństwo z łaski. Gdyby Bóg pozwalał sobie w ogóle na bezpośrednie ingerencje, to Izmir stanowiłby nienajgorszy pretekst.

– Więc wierzysz?

– W Boga? Czy wierzę? Raczej... domyślam się – rzecze „Rozmaryn”.

Kto wie, może i w tym wypadku Turing się mylił.

Sprawdzam aktualne dane na temat *rendez-vous* planetoid z Madeleine. Wciąż nic pewnego. Na łąkach komputacyjnych Centrum Astronomicznego w Lizonne żywokrst tych równań rozrósł się na blisko hektar, a mimo to nie ma stuprocentowo pewnego wyniku. W najgorszym wypadku mam miesiąc. Czy Kościół rzeczywiście byłoby stać na przesunięcie tak dużej planetoidy? Czy owa fantasmagoryczna Maszyna Hoana w ogóle pozwoliłaby na podobne przesunięcie?

•

Jestem. Pierwszy dzień na Izmiraidach. Widziałem grób, rozmawiałem z księdzem Mirtonem. Burza tymczasem wygotowała się po drugiej stronie. Wiedzieli, gdzie posadzić „Sagittariusa”. (No nie, co to ma wspólnego, wszystko zależy od pory dnia, momentu obrotowego kamienia; chyba że Wektor Hoana...)

Katedra stoi poza biostazą miasta, jest za wysoka, przebiłaby kopułę. Wahadłowiec „Rozmaryna” wysadził nas po drugiej stronie, samo miasto (miasto! – za dużo powiedziane: raczej przykryte półkulą powietrza skupisko tymczasowych kwater) leży w płytkim kraterze i jego zbocza zagroziły nam widok czarną skarpą. Ta Izmiraida nazywa się Róg, jest druga pod względem wielkości w całym skupisku, ale i tak ciężenie praktycznie tu nie istnieje. Od razu przesiedliśmy się do gruisa. Wasojfemgus pomógł mi ze skafandrem, te samowystarczalne próżniówki to prawdziwe zbroje, człowiek myśli pół minuty zanim ruszy nogą.

Gruis na trasie od lądowiska do kopuły jeździ wzdłuż oświetlonej jaskrawo trakcji, przymocowany jest do niej za pomocą dwóch elastycznych pałaków, wygląda to prawie jak kolejka liniowa.

Kiedy jechaliśmy, doktor wskazał na prawo i powiedział:

– Wrak.

Zorientowałem się, że ma na myśli holownik Izmira. Obejrzałem się w tamtym kierunku, lecz niczego nie dostrzegłem.

– Już za horyzontem – rzekł Wasojfemgus. – Jest linia także do niego. Ksiądz na pielgrzymce?

– Nie – odparłem i spróbowałem zażartować: – Służbowo.

Nie bardzo widziałem przez plastik hełmu jego twarz, ale chyba się nie uśmiechnął.

– Ja właściwie tylko na chwilę... – mruknął. – Skorzystałem z okazji, że ludzie zamawiają czartery do ewakuacji. Myśli ksiądz, że Madeleine nas puści?

Chciałem wzruszyć ramionami, ale niewiele z tego wyszło.

– Nie wiem. Liczą jeszcze.

– Taa.

Niebo nie jest tu niebem, lecz po prostu rozpiętym na wysokiej półsfery kosmosem. Gorzej: momentalnie traci tę iluzję dwuwymiarowości, wystarczy się zapatrzeć przez parę sekund, i już przytłacza cię potworna otchłań. Umysł natychmiast przestawia się na obrazowanie przestrzenne i nie masz najmniejszych wątpliwości, żeś jeno pyłkiem drobnym w tym oceanie, mrówką na kamyku. Można wpaść w panikę. Ci, co pierwszy raz wychodzą w otwarty kosmos, czują niemal fizycznie, jak ich zmysły tracą wszelkie punkty orientacji; zaczyna się upadek, spadają w nieskończoną pustkę. Były przypadki utraty przytomności, były wymioty i szlochy, był nawet obłąd. Na planetoidzie to nie grozi, mimo wszystko jest tu jakiś horyzont, jest grunt pod stopami, domyślna płaszczyzna „dołu”. Ale gdy uniesiesz głowę i stracisz je z oczu... Mój Boże. Nie do opisanania.

Wjechaliśmy na krawędź krateru. Śluzą kopuły już otwierała się przed maską gruisa. Sama kopuła z zewnątrz prezentowała się jako mlecznobiała półsfera, nic praktycznie nie było przez nią widać. Wjechaliśmy do śluz i zaraz wyjechali, drzwi zamknęły się i otworzyły tak szybko, że nawet tego nie zauważyłem; spojrzałem w górę – i znowu spadły na mnie gwiazdy: z wewnątrz kopuła jest bowiem całkowicie przeźroczysta.

Pomimo tej polerowanej gładko czerni, bezcieniowe światło zalewa jej wnętrze.

Budynki stoją w czterech koncentrycznych kręgach, w środku najstarsze; większość dwu-, trzypiętrowych. Krąg czwarty, zewnętrzny, według doktora jest niemal w całości opuszczony.

Gruis uwolnił się od traktacji i Wasojfemgus przeszedł na ręczne. Lewą ręką wskazywał mijane żywokrystne ściany i perorował (już nie przez interkom, zdjęliśmy bowiem hełmy).

– To Matabozzy. Zaczęli uciekać, gdy tylko okazało się, że podejziemy pod Madeleine. Oni to pierwsi liczyli. Procesują się właśnie o te działki na szczeniakach Lizonne, dwa tysiące hektarów gęstego lasu analitycznego, niech się Centrum schowa. W szczyście, jakieś pięć lat temu, ponoć jedna trzecia tego lasu miała równania grawitacyjne Izmiraidów. W ramach testingu parametrów kontrolnych spięli z Fistaszką siedem ciężkometalicznych meteorów. Było to jeszcze przed krytycznym perilewium, no i teraz mamy Proces Czternastu. Już widzę, jak adwokaci wyjaśniać będą sędziom przysięgłym teorię chaosu. Matabozza najprawdopodobniej pójdzie w bifurkację, nikt im nie dowiedzie, że to nieprawda. Czyli w sumie dwa potężne procesy. Nic dziwnego, że tną budżet. Oni pierwsi. Natomiast ten arkadowy ciąg po lewej to filia NASA. Teoretycznie ograniczają się do monitoringu. Ha! Za mojej poprzedniej wizyty, jak wypłynęła propozycja rozerwania czarnych żył atomówkami, NASA wyskoczyła z tą ustawą veta. Był zamach na ich mózgowca. Stąd, widzi ksiądz, to zielone, tam mieszka ekipa śledczych UL; w każdym razie mieszkała, chociaż nie wygląda, żeby też się już wynieśli. A tamta ćwiartka – to wszystkie kwatery gościnne, Honzl to dzierżawi pielgrzymom, podczas szerokich okien ma full. Teraz się modli, żeby Madeleine nas puściła.

– On to dzierżawi, mówi pan. Zna pan status prawny Izmiraidów?

– Aha, prawo łupieżcy, parcelacja wirtualna. Więc te plotki są prawdziwe? Będziecie ratować Róg?

– Proszę pana...

– No tak.

Minęliśmy już centrum, czyli okrągły plac z fontanną w środku (wielkie krople wody spadały po absurdalnie wysokich parabolach). Wasojfemgus skręcił za białościenny budynek o wyszukanej, arabskiej architekturze i tu zatrzymał gruisa. Wysiadł, machnął mi ręką i ruszył ku cieniom strzelistych arkad. Patrzyłem, jak szedł. Kolana prawie w ogóle nie pracowały, głównie Achilles. Miał facet wprawę. Szybko zniknął w mroku.

Przełączyłem gruisa na auto i podałem mu adres kwater wynajmowanych u Honzla przez diecezję Lizonne. Samochód ruszył. Znowu jechałem przez milczące miasto. Teraz dopiero uświadomiłem sobie przeraźliwą jego bezludność. Przez cały czas, od samej śluzy, nie zobaczyłem żadnego jego mieszkańca. Wyglądało, jakby nie tylko czwarty, ale wszystkie kręgi żywokrystnej zabudowy zostały już dawno opuszczone.

Że nie było to prawdą, przekonałem się wszedłszy do głównego holu hotelu Honzla. W niczym nie przypominał on lizońskich czy ziemskich holi hotelowych (bardziej staromodne stoisko z elektroniką) – w niczym, prócz jednego: recepcjonisty. Gdy tylko przekroczyłem próg (prawdę rzekłszy przeszybowalem, po zdecydowanie zbyt ostrym łuku), on podniósł się zza szerokiej lady, na której błyszczał kanciastymi wnętrzościami rozbebeszony automat. Podszedł i wyciągnął dłoń. Ucisnąłem ją mimo rękawicy.

– Ojciec Lavone, jakże się cieszę, jednak ojciec dotarł. – Był bardzo młody, góra trzydzieści pięć lat; pewnemu, mocnemu uściskowi przeczył nieśmiały uśmiech na twarzy o oliwkowej cerze. – Jack, to znaczy ksiądz Mirton, czeka na ojca. Numer dwieście dwa.

– Bardzo mi miło, a właściwie...

– Honzl, Stefan Honzl.

Tak oto poznałem miejscowego potentata w branży hotelarskiej. Poszedł zabrać z gruisa bagaże. Mój pokój miał numer dwieście trzy. W ścianach windy umieszczono liczne uchwyty, przyspieszenie ciskało człowiekiem o sufit, nieostrożny nowiejusz wychodzi z guzem wielkości orzecha.

Co się tyczy luksusów hotelowych, to ujrawszy korytarz drugiego piętra przestałem żywić jakiegokolwiek złudzenia względem charakteru Honzlowego przedsięwzięcia. Użył standardowego żywokrystu i z pewnością nie wykosztował się na żadne upiększenia wystroju; to już „Rozmaryn” więcej miał w sobie z hotelu. Gołe ściany, goła podłoga, zielonkawa luminescencja sufitu, drzwi krojone w identyczne prostokąty. Na Lizonne takie kwatery lokowałyby się poniżej gwarantowanego minimum socjalnego.

Zapukałem do dwieście dwójki.

Mirton rzeczywiście czekał był na mnie. Wszedłem w jakąś rozległą wizualizację 3D, czym prędzej ją wyłączył, zdążyłem spostrzec tylko skomplikowaną symbolikę algorytmów ewolucyjnych. Mirton sam jest w wieku Honzla, na żywo wygląda jeszcze młodziej niż przez telefon. Okropnie nerwowy człowiek. W tym powitalnym wodospadzie gorących słów pomieścił tyle afektowanych westchnień i zachnień, że już zacząłem podejrzewać przeszarżowaną grę – ale to jest właśnie Mirton, Mirton *par excellence*.

– Ksiądz nie ma uprawnień do wydawania wiążących zaleceń co do miejsc kultu, prawda? Och, zastanawiałem się tylko... Tak, ja wiem, że to są cuda niepotwierdzone. Ale jeśli Kościół zdecydowałby się uruchomić swe zasoby... Niektóre z konsorcjów zaangażowanych tutaj z pewnością chętnie wzięłyby w tym udział, mogę skontaktować księdza, tak, przepraszam, mogę cię skontaktować z miejscowymi agentami, którzy w imieniu lizońskich decydentów czynili mi takie aluzje... Ależ nie, nie, nie, wręcz przeciwnie; już słałem prośby, znalazło się nawet kilku chętnych na zastępstwo, ale jakoś... Rozumiesz, to już czwarty rok, niemal prosto po seminarium, z kim ja tu mam do czynienia, no sam przyznasz, naprawdę czas już, żebym wrócił na Lizonne; jeśli byłbyś tak dobry... Według swojego uznania, rzecz

jasna. Nerwy? Może faktycznie. Sam się przekonasz. Cóż mogę rzec? Jeszcze w oknach, gdy był szczyt pielgrzymek i miałem takie msze, że Katedra faktycznie pękała w szwach... Ale teraz. Choćby Madeleine nas nie złapała – zawsze to z rok aplevium, pustelnia, może nie? Wiem, wiem, narzekam. Może kawy?

Poszedł po tę kawę (na końcu korytarza mieści się kuchenka termiczna). Honzl zajrzał przez wpółotwarte drzwi, by pokazać, że dostarczył już bagaż. Pokiwałem głową dziękując. Pokój Mirtona (bliźniaczy mojemu zresztą) zawalony był bibułowymi wydrukami, tylko od rzutników tele szły przez niskociężeniowy bałagan korytarze pustki. Bałagan ułamkowej grawitacji różni się bowiem od bałaganu 1 g, tak jak ciasto francuskie różni się od chleba. Prawdę mówiąc siedziałem tam tak spięty głównie dlatego, iż w podświadomym przekonaniu pewien byłem, że wystarczy jeden mój nieostrożny ruch, by zawalić te asymetryczne rusztowania Mirtonowego chaosu. Obracałem się na krześle zważając na położenie każdej kończyny. Za plecami, na ścianie, miałem szereg wielkich, czarno-białych zdjęć Katedry. Na jednym przez jej wysokie skrzela przestrzeliwały oślepiające promienie Lévie, wielka tarcza słońca wydobywała się z izmiraidowego Tartaru; nadłupywała ją kolejna asteroida, sądząc po kształcie – Podkowa. Na drugim zdjęciu Katedra pochylała się nad obiektywem wprost z gwiazdzistej otchłani, kształtu budowli domyślać się można było jedynie po mroku między srebrnymi punktami. Trzecie znowu przepelniał niesfiltrowany blask. Mirton wrócił z kawą, zapytałem go o te zdjęcia. Zmieszał się, zaczął coś mówić o hobby. Że niby koresponduje z Ugerzo. Ten człowiek faktycznie sprawia wrażenie mocno zestresowanego.

Wieczorem (miejscowy czas jest standardowym czasem podróznym Lizonne, nie musiałem się przedstawiać) zabrał mnie do Katedry, do grobu Izmira. To miejsce istotnie ma w sobie coś... niesamowitego. Później opiszę.



Pierwsza noc na Rogu. Izmiraidy coraz bliżej Madeleine, żywokrst logiczny Centrum Astronomicznego wciąż tylko rośnie (wysoka ergodyczność układu).

Hotel Honzla stoi pusty jak całe to nibymiasto. Żadnych luksusów, ta kopuła wyrosła na użytkowym żywokryście biosfer wojskowych, natężenie światła nie zmienia się niezależnie od pory biocyklu. Obudziłem się po drugiej w nocy, młeczne światło lało się z okien, biała skóra nabiera w nim lekko trupiego odcienia. Wstałem, szarpnąłem ramę (same głupie sprzęty, nawet z drzwiami nie pogadasz). Dno przykrytego krateru schodziło w dół aż do samego ronda z fontanną, miałem widok na wszystkie kręgi piekła ciszy. Bezruch i bezdźwięk. Obudzony w majaku wieloryba.

Nie mogłem jednak ponownie zasnąć i w końcu zdecydowałem się na „nocny” spacer. Wciągnąłem tylko szorty i sweter. Hol na dole był pusty, ni śladu po Honzlu. Wyszedłem na ulicę o sterylnej białej nawierzchni. Trzeba poćwiczyć chód. Zmierzając ku fontannie (słyszałem jej szum już w drugim kręgu) po tak rozciągniętej spirali, okrążyłem krater przynajmniej półtora raza. Mijałem zamknięte na cztery spusty sklepy z dewocjonaliami, zarośnięte blankującym żywokrstem centrum medyczne, skąpane w jaskrawej zieleni przeprogramowanych roślin wille mieszkalne dla naukowców, którzy w większości też już opuścili Izmiraidy (korporacje minimalizowały straty wydając na paliwo najmniejsze możliwe sumy a dawno już minęła pora ekonomicznych okien). Dwa razy się przewróciłem. Taka prawie-nieważkość jest jednak bardzo męcząca, mięśnie drętwieją, we łbie się kręci.

W końcu przysiadłem na rzeźbionym obramowaniu fontanny. Pył wodny ochładzał spoconą skórę. Krew szumiała w uszach i nie usłyszałem, jak podeszła. Dotknęła mego ramienia. Wzdrygnąłem się i ten dreszcz podniósł mnie na równe nogi.

Najpierw pomyślałem, że faktycznie jest w ciąży, bo nie miała na szyi wokalizatora, ani tompaku na karku – ale zaraz spostrzegłem przypięty do ramienia głośnik i logo CFG Co. na obszernym *T-shircie*.

– Pierre Lavone? – spytał mózgowiec.

– Tak. Z kim mam przyjemność?

– Angii Telesfer *in utero* Magdaleny Kleinert. Może usiądziemy?

Przysiadłem zatem z powrotem na niewygodnym rzeźbieniu fontanny, Kleinert obok.

– Nie to, żeby wiele tu ważył – uśmiechnęła się Magdalena – ale woli, żebym nie naciągała mięśni.

– Tyranizuję cię, powiedz to – sarknął Telesfer.

Kleinert machnęła dłonią.

– Oczekiwaliście mojego przylotu? – zapytałem.

– Tak – przyznał mózgowiec – oczywiście.

Przypomniałem sobie słowa Mirtona o aluzjach miejscowych przedstawicieli firm.

– Jeśli tak bardzo zależy wam na Izmiraidach – zauważyłem – znacznie łatwiej sami mogliście to zorganizować. Nie wiem, skąd bierze się to przekonanie o niezmiernych bogactwach Kościoła.

– Z tajemniczości jego przedstawicieli – zaśmiał się Telesfer. – Poza tym nie ma żadnych „nas”.

Jestem po prostu jednym z najmitów CFG, nie zasiadam w zarządzie, nie mam prawa wypowiadać się w czymkolwiek imieniu, na pewno nie w imieniu innych inwestorów.

– Rozumiem. Struktury poziome. Lobby izmiraidowych naukowców knuje za plecami decydentów.

– Mniej więcej. Gdyby Kościół ogłosił, że podejmuje inicjatywę ratowania Izmiraidów – to co innego. Otworzyłaby się możliwość. Większość chyba by w końcu przystąpiła. Ale sami z siebie... – prychnął – nigdy w życiu.

– Jest tu jakiś system kontroli wewnętrznej?

– Bez przesady, żaden spisek. Ja i tak właściwie nie sypiam; obudziłem pannę Magdaleny i poszliśmy pooglądać gwiazdy.

– Rozumiem. – Rozmawiając z niewidocznym mózgowcem krążyłem spojrzeniem po jasnych elewacjach pobliskich budynków; teraz puściłem oko do Kleinert. – Długo pani nosi tego egoistę?

– Ech, będzie już cztery lata. Nie jest nawet taki zły...

Równocześnie Telesfer podniósł błazeński lament.

– No tak, teraz będzie przytaczać encykliki, litować się będzie z wysokości, dziecię pychy, rzeknie; teraz znowu...

– Cicho, cicho. Jak konkretnie brzmi wasza propozycja?

– Nie ma żadnej propozycji – uciał. – Możemy tylko księdza zachęcać. Bo oni tam czekają na księdza raport, prawda? Nie jesteśmy tak naiwni, żeby wierzyć, iż jedno księdza słowo przesunie planetoidy; ale na pewno na decyzji zawąży.

– Nie bardzo sobie wyobrażam sposoby tego zachęcania – mruknąłem. – Możecie mi przedstawić dowody cudów?

– Zatem księdza interesuje tylko domniemana świętość Izmira?

– Nie. Mnie interesuje wiele różnych rzeczy. Zagadka Hoana, na przykład. Ale jeśli chodzi o to, co interesuje czytelników mego raportu – to tak, ma pan rację: jest to świętość Izmira.

Mózgowiec milczał przez dłuższą chwilę. Magdalena sennymi ruchami ręki mąciła wodę w zbiorniku fontanny.

– Proszę mnie jutro odwiedzić – odezwał się wreszcie Telesfer. – W głównym laboratorium CFG. Komputer będzie uprzedzony. Po osiemnastej. Skoro istotnie interesują księdza różne rzeczy... Cóż, przyjemnych snów życzę

Kleinert uściśnęła mi dłoń (palce mokre od zimnej wody), wstała, odwróciła się i dostojnym, powolnym krokiem odeszła ku jednej z rozbiegających się promieniście od placu ulic.

Wróciłem do hotelu i nagrałem relację z tej rozmowy.



Więc teraz Katedra. Olbrzymia, wspaniała. Wychodzisz ze śluz biosfery i widzisz ją – Katedrę – przed/ponad sobą: poszarpany cień na tle gwiazd. Trzeba światła, żeby docenić jej architekturę, a światła właśnie brak: Lévie już daleko, Madeleine jeszcze nie wystarczająco blisko. Teraz, w długim okresie kosmicznego interhelium, Katedra jest przede wszystkim Tajemnicą. Do głównego portalu od śluz prowadzi po stoku krateru kręta trakcja, schodzi się wyrąbaną w zimnym kamieniu ścieżką, z linką asekuracyjną obligatoryjnie zaczepianą u pasa przez automat zewnętrznych wrót. Zazwyczaj zwycięża wtedy ciekawość i schodzący włącza potężny reflektor próżniowego skafandra. Biały palec reflektora może jednak dotykać tylko poszczególnych fragmentów budowli, przesuwając po nich po kolei – jasnym naskórkiem po powierzchni Katedry: stąd dotąd, stąd dotąd. Schodząc trudno utrzymać światło w punkcie – więc człowiek przystaje, zagapia się, wodzi gorącym paluchem po skalnej kreacji; takie zejście od śluz (dwieście metrów) może trwać i godzinę. Wiem, bo tyle właśnie trwało w moim przypadku: ksiądz Mirton czekał przy grobie, powiedział potem, że się spodziewał, niektórzy siadają na stoku i zapadają w jakieś katatoniczne zauroczenie, dopiero alarmy skafandra ich budzą. Nie dziwota. To nie jest budynek, to rzeźba. Ale też i nie rzeźba. Ugerzo zamawiając specywowokryst wiedział, że to, co tu wyhoduje, nie będzie służyć zwykłym celom, że funkcjonalność Katedry nie ma znaczenia wobec jej symboliki. Ograniczenie było tylko jedno: grób Izmira i ołtarz – one mieściły się wewnątrz, objęte autonomiczną minibiosferą, dla nich musiało ocaleć miejsce, wolne dojście dla wiernych. Resztę pozostawiono wyobraźni designerów oraz ergodyczności założonych algorytmów wzrostu. Siew objął zatem wnętrze okręgu dookoła mogiły, jakieś czterysta metrów kwadratowych. W prawie-nieważkości planetoidy żywokryst wystrzelił był na blisko ćwierć kilometra wzwyż. Kiedy się patrzy od strony śluz kraterowej biosfery, wygląda to tak: hiperboloidalny korpus z wywiniętymi w krzywe skrzydła, łukowatymi żebrami pośrodku; na flankach zaś – asymetryczne wieże zakończone kamiennymi wykwitami strzępiastych liści, niczym zamrożone czarną próżnią w chwili eksplozji węglowe szrapnele. Forma mówi o ucieczce duszy, która w okrutnym bólu wyrывa się z okowów materii ku gwiazdzistej pustce. Gdy światło zaczyna tu śledzić jakąś linię, krawędź, załamanie, zebro kopuły – szybko wyciska z mroku ostre szczegóły, ociekające gęsto twardymi cieniami, i oko wpada w spiralę dociekliwości, tym szczegółom nie ma końca, fraktalowe algorytmy żywokrystu przydały tu wszelkim figurom pozorne ułamkowe wymiary, oko się gubi. Dookoła wież pną się ku stopklatkom śmierci spirale Escherowych schodów, pod pewnym kątem wygląda to nawet na drogę, którą człowiek faktycznie może przebyć, ale w rzeczywistości, gdy światło ogarnie większy fragment Katedry, widać, że musiałby to być raczej pająk niż człowiek; i że nawet on donikąd by w końcu nie dotarł. Asymetria wież powoduje, iż cały ten ażur żywokrystu zdaje się chylić ku kraterowi, ku patrzącemu, i na jego prawą stronę; natomiast przewrotność algorytmów redukcyjnych odpowiedzialnych za kształt zewnętrznych powierzchni nawy głównej – iż toczy Katedrę jakiś nowotwór kamienia, że mianowicie patrzący widzi właśnie ostatnią, przedśmiertną postać budowli, a zaraz – za dzień, dwa – zapadnie się ona w siebie, skłębnie, przegnie, trzaskną pod ciężarem udręczonego kamienia strzeliste żebra, zwieńczony krzyżem kręgosłup runie w cieniste przestrzenie organów wewnętrznych i spomiędzy szczepek wysuniętego portalu wytoczy się powolna lawina kruchej krwi Katedry. Forma mówi o udręce samotnego konania, słabości materii, która zatrzuwa zwątpieniem niewidzialnego ducha. A jeśli się zgasi reflektor i chwilę tak posiedzi na stoku, może też kawałek przejdzie w te i we w te pod asekuracyjną trakcją – jeśli się to uczyni, głodna żrenica wyłapie pojedyncze promienie światła bijące z wysokiej bryły cienia. Gwiazdy przeświatlają Katedrę na przestrzał. Nie posiada ona wszak ścian ani dachu, bo do niczego nie są jej jako budynkowi potrzebne – to przecież nie jest budynek – a przezroczysta półsfera przykrywająca grób Izmira i ołtarz sama spełnia wszystkie konieczne ich funkcje. Toteż w rzeczy samej nie mamy tu do czynienia z bryłą ergonomiczną.

Wnętrze konstrukcji nie jest puste i, chociaż tego już człowiek nie zobaczy, wypełnia je takie samo misterium żywokrystnych przekształceń, jakie wyrzeźbiło części widoczne. Więc o określonej porze określone gwiazdy są w stanie posłać swe światło przez Katedrę. Schodzący ku niej rejestruje co chwila błyski jasności z tej gigantycznej plamy mroku, prawie jak sygnały rozpadu w komorze próżniowej: strzały z nicości. Potem wchodzi w cień portalu, zamykają się dookoła niego kurtyny zamrożonych fal, gąszcz żelazowych krzaków, brodzi w wylewach jeziora bólu. Zakręt, światło – i stoi przed grobem.

•

Poszedłem do CFG.

Główne laboratorium zajmuje trzy dwupiętrowe budynki, zestawione w podkowę otaczającą miniogród, w którym rosną mocno przeprogramowane drzewa. Komputer rzeczywiście był uprzedzony i wpuścił mnie przez główną bramę do tego ogrodu. Zraszacze opryskały mnie salwami chłodnych kropel. Słyszałem ptaki, ale szło to chyba z głośników.

Wyszedł mi na spotkanie chudy Murzyn w koszuli w kratę. Przedstawił się jako Mood, asystent Telesfera. Z ogrodu przeszliśmy do cienistej sutenery. Szklany żywokryst kroi rozległe pomieszczenie na kilkanaście kantorów/gablot; w jednej z nich spała na leżance Magdalena Kleinert. Mood wskazał ją brodą, po czym podał mi słuchawki.

– Przepięłem tymczasowo wyjście audio – mruknął.

Założyłem słuchawki.

– Dzień dobry – odezwał się Telesfer. – Słyszał ksiądz nowiny? Żywokryst logiczny Centrum Astronomicznego przestał się rozrastać.

– Taak.

– Proszę podejść do stołu pod palmą. Futerał w rogu. Proszę z łaski swojej je założyć.

Wyjąłem i założyłem okulary. Telesfer zwizualizował się fioletowym elfem w purpurowym kubraczku. Palił cygaro i tym cygarem skinął na mnie, bym za nim podążył. Ominąwszy z daleka chrapiącą lekko Kleinert, zaprowadził mnie do ostatniego szeregu gablot. W żywokrystnych blokach czerniły się tu pod ścianą małe, chropowate bryły. Telesfer-elf wskazał je dymiącym cygarem.

– Liczba odwiertów przeprowadzonych przez CFG na wszystkich Izmiraidach przekroczyła tysiąc. Wie ksiądz, czego szukaliśmy: Maszyny Hoana. Cóż, nie znaleźliśmy jej. To są fragmenty niektórych rdzeni. Co w nich takiego ciekawego... Bo ksiądz szuka tu ciekawostek, prawda? Wot, ciekawostka: struktura makrocząsteczek żelazowych tych rdzeni; ten z głębokości kilometra, ten – prawie dwóch, ten – z samego, mhm, jądra planetoidy.

Telesfer machnął ręką i w powietrzu nad jego głową rozwinęła się z jakiegoś podwymiaru brunatna chmura. Poprawiłem okulary, podszedłem bliżej, zmrużyłem oczy. Chmura wydawała się składać z wielu mocno razem sprasowanych warstw naprzemian brązowej, żółtej i czarnej bibuły, na dodatek każda kolejna warstwa odmiennie rozkładała strefy zagęszczeń i rozrzedzeń materii, tak że całość sprawiała wrażenie raczej czegoś w rodzaju randomicznego filtru.

– Tak to mniej więcej wygląda – rzekł Telesfer – przy czym w większych Izmiraidach, jak chociażby właśnie Róg, strukturę tę odnajdujemy praktycznie wszędzie poniżej pewnej głębokości. Zasadziliśmy żywokrysty dla logicznej interpolacji tych makromolekuł, ale wpadły w głód, niczego się nie dowiedzieliśmy, nie istnieje naturalna ścieżka dla powstania czegoś takiego, w każdym razie my nie znamy stosownych warunków brzegowych. Nie jest to minerał ani żadna forma życia podług hawajskiej jego definicji. Nie wykazuje zdolności samoreplikacyjnych. Nazywamy je Czarną Watą.

– Postulaty Hoana? – spytałem.

– Nic – odparł Telesfer przysiadłszy na jednym z przezroczystych bloków żywokrystnych, w którym

tkwiła bryła Waty o kształcie nerki. – Brak mechanizmu przetwarzania energii, brak jakiegokolwiek ogólnego źródła zasilania, nie reaguje na żadnym poziomie. Nijak nie pasuje do Maszyny.

– Hoan postulował aktywną rzeźbę czasoprzestrzeni – mruknąłem. – Koszt energetyczny musiałby tu być oczywiście ogromny; ale wobec tego może to coś innego.

– Co? – Telesfer wzruszył ramionami. – Bez wątpienia manipuluje grawitacją. Poza tym nie znając samego mechanizmu – a przecież nie mamy o nim zielonego pojęcia, nasi rzecznicy mogą mówić co innego, ale tak naprawdę żadna z kompanii, które zainwestowały tu w badania w nadziei na ów święty Graal fizyki, nie posunęła się do przodu ani o krok – więc, jak mówię, nie znając mechanizmu, nie możemy nawet spekulować o koniecznych do zaangażowania w manipulację mocach. Hoanowy domyślny wektor korekcyjny nigdy nie był aż tak duży, jak się powszechnie wydaje; wystarczy umiejętnie manipulować parametrami kontrolnymi układu. Trzeba ciągłych, długich przyłożeń, lecz stosunkowo słabych, o ile tylko dobrze i w porę przycelowanych.

– Rzeczywiście, ciekawostka – przyznałem popatrując to na bryły Czarnej Waty, to na efekciarską symulację jej struktury molekularnej.

– Dalej. – Telesfer wstał, minął kilka gablot i wskazał cygarem wielką dioramę, obrazującą geologiczny przekrój Izmiraidy o nazwie Kolos (jak wynikało z podświetlonego opisu). – Spójrzy ksiądz na to. O, tutaj, ta warstwa.

– Mhm?

– Ścieżka analizy... O. I taki rozkład.

– Błysk gamma?

– Prawidłowo. – Telesfer skłonił głowę. – Rozvorsky, środek przedziału.

– Jak dawno?

– To trudno ocenić. Nie można się tu oprzeć na geologii planetarnej i datowaniu podług zegara epok czy zegara solarnego.

– Izotopy?

– To niestety daje duży i bardzo rozmyty przedział, bo datujemy przekładańcem, a przecież to-to po prostu leci sobie przez próżnię. Sto do dwunastu milionów lat.

– Ho-ho, rzeczywiście. Znane eksplodowane gwiazdy neutronowe w sferze dziewięćdziesięciu milionów lat świetlnych? *Matching?*

– A czym nakarmimy żywokryst? – wyszczerzył się fioleto-woskóry elf. – Średnica Mlecznej Drogi wynosi sto tysięcy lat świetlnych. Kilkaset miliardów gwiazd. Ja pięknie dziękuję.

– Mhm. Znaleźliście ten ślad na wszystkich Izmiraidach?

– O, widzi ksiądz, właśnie że nie. Tylko na czterech największych oraz na Gwizdku.

– A Czarną Watę? Jakaś zależność?

– Czarna Wata jest wszędzie; tu więcej, tam mniej.

– Interpolacja toru układu.

– Z Wektorem Hoana...? – roześmiał się Telesfer. – Jak?

– No tak. – Zmieszałem się, bo z tego wszystkiego zapomniałem, że prób zaniechano zaraz po Hoanie; taka mechanika ima się tylko układów makrodeterministycznych, w których nie występuje nieanalizowalny czynnik moderujący. – Zresztą wystarczyłoby parę przejść nad Madeleine. No ale jaka może być maksymalna prędkość Izmiraidów w próżni międzysystemowej? Na chłopski rozum. Gdyby ten potop gamma przyszedł z tak daleka, zostawiłby analogiczne ślady wszędzie tu w okolicy. A tutaj – wskazałem dioramę – widzę, że cholernie mocno przygrzało. Lizonne byłaby teraz sterylną planetą, piec mionowy, zero życia. Więc nie; musiało dopaść je w sporej odległości. A zatem dosyć dawno. Czy ktoś tu wierzy w wędrówki międzygalaktyczne? Nie sądzę. *Ergo*: szukajmy wzdłuż ramienia. Można chyba nawet wyprowadzić toporny wzór, istnieje zależność...

– Pięknie, pięknie – kiwał głową Telesfer – ale co nam to da? Nawet gdybyśmy w końcu jednoznacznie zidentyfikowali źródłową neutronówkę. Skoro dystans jest tak duży, że nie przypieкло ani Lizonne, ani Ziemi – to jest to zarazem dystans wielokrotnie przekraczający zasięg naszych ślimaczych stateczków. Że już nie wspomnę o dystansie czasowym: tysiące lat temu. Zagadka tkwi tutaj, w Izmiraidach. – Telesfer tupnął nogą, wskazał cygarem podłogę. – I tutaj też musimy znaleźć odpowiedź. A ile mamy czasu? Dwa miesiące, potem Madeleine, potem diabli wiedzą co.

– Nie w mojej mocy...

– Być może nie, być może tak. Skąd ksiądz może to wiedzieć, skoro nie spróbował? Tak, to prawda, ja się zgodzę: oni przysłali tu księdza jedynie z biurokratycznej skrupulatności, Kościół to instytucja jak każda inna, czasu na skostnienie miała wystarczająco dużo. Ale to nie zmienia postaci rzeczy.

– Pan nie rozumie, panie Telesfer! – Przyznaję, zdołał mnie zirytować. – To wszystko nie ma żadnego znaczenia dla orzeczenia o domniemanych cudach Izmira Predú ! Nawet gdybyście wykopali tu calutkie UFO pełne z mumifikowanych Obcych. To nie ma najmniejszego znaczenia!

Elf wydmuchnął serię dymnych obwarzanków.

– Być może tak, być może nie. Skąd ksiądz może to wiedzieć?



Żywokryst logiczny Centrum Astronomicznego przestał się rozrastać i w końcu zakwitł. Madeleine katapultuje Izmiraidy poza studnię grawitacyjną Lévie: w ten sposób domknęły się równania. Tak zatem w ciągu trzech tygodni musimy się wszyscy ewakuować z Rogu. Nikt nigdy więcej nie zobaczy Katedry, nikt nigdy nie stanie w jej cieniu; po opuszczeniu Madeleine nigdy już nie będzie ona rzucać cienia. Nigdy – a w każdym razie nie w czasie ogarnialnym naszą ludzką miarą. Siedziałem dzisiaj przy grobie Izmira, pod sferą wewnątrz-katedralnej biostazy. Grób znajduje się między dwoma rzędami ław, przed ołtarzem, zza którego świeci tabernakulum. Ławy ciągną się do samego labiryntu wyjścia, każda długa na jakieś dwadzieścia metrów – licząc miejsca stojące, zmieściłoby się tu ponad cztery tysiące wiernych. Zaiste, Katedra. Oczywiście w sensie prawa kanonicznego katedrą nie jest; ale Ugerzo tak zatytułował projekt i nikt, kto raz zobaczył budowlę, nie nazywa jej inaczej, jak Katedrą właśnie. Z wnętrza (to absurdalne) wydaje się jeszcze większa. Światło tu rozchodzi się spod półsfery zgodnie z kierunkami spojrzeń i cieni po prawdzie nie widać w ogóle; w istocie jednak aż roi się od nich, wystarczy wyjść poza półsferę ochronną. Wnętrze Katedry nie jest puste – gwoli prawdy bardziej niż o wnętrzu budynku, trzeba tu mówić o jego wnętrzościach. Uniósłszy głowę, to znaczy przechyliwszy ją w tył do poziomu, widzisz, że tam, gdzie w prawdziwych, normalnych katedrach wybuchałaby na dziesiątki metrów sześciennych monumentalna pustka (ten wielokrotny krzyż w architektonicznej partyturze), w Katedrze miejsce jej należne zajmuje chaotycznie rozrośnięty żywokrystny kamień, krętymi jelitami, strzępiastymi płucami, tu gęstą, tam rzadką siecią żył – rozpościerający się od ściany-szkieletu do ściany-szkieletu, od zwieńczonego krzyżem grzebienia do prawie samej powierzchni półsfery. Nic tu niczemu nie służy i nie ma dla tych wiszących w górnych jasno-ciemnościach brył nijakiej partykularnej teleologii, projektanci ziaren inicjujących nie określali nawet w przybliżeniu architektury wnętrza, w pierwszy żywokryst weszły jedynie najbardziej podstawowe dane wejściowe, widełki warunków brzegowych i kilka początkowych kroków przekształceń. Tak się algorytmizuje oryginalność, mechaniczują sztukę spontaniczną i zaklina w formę interakcje z zimną planetoidą. Ugerzo zapłacił, Ugerzo dostał. Nawet katafalk domniemanego świętego, stylizowany na nagrobną płaskorzeźbę krzyżowców (jedna noga Izmira opiera się na kostce drugiej), stanowi organiczną część Katedry, wyrósł z posadzki przykrywając romboidalną mogiłę, w której pochowali Izmira ocaleli członkowie załogi „Sagittariusza”.

Pamiętam, że o tragedii starego holownika R-L dowiedziałem się podczas wyprawy w Greorne. (Ileż to już lat, mój Boże...) Zeszliśmy z Murabików i właśnie rozłożyliśmy się obozem w niewielkiej kotlinie, całkowicie pograżonej w cieniu Czwartego Murabika; trzeba nam było kilku dni dla odzwyczajenia się od dotleniaczy, żyły jeszcze piekły i mózg generował ulotne halucynacje. Siedzieliśmy w namiotach, ktoś włączył telewizję i wtedy usłyszałem o „Sagittariusie”. Akcja ratunkowa już trwała, obliczano szanse, holownik szedł po dziwkiej hiperboli, boczna eksplozja cisnęła była nim nieco ponad ekliptykę, wszelkie proponowane tory przechwytyjące wymagały od ścigających kosztownego aktywnego manewrowania, same limity paliwowe wykluczyły dziewięćdziesiąt procent jednostek. Szybki żywokrst ramowy urodził ogólne rozwiązanie wskazujące na Lizońską Jednostkę Operacyjną „Fellini” i owa „Fellini”, bez żywego członka załogi na pokładzie, za to z ogromnymi zapasami tlenu, wody i żywności, pędziła teraz po wymuszonej na stałym 4.6 g. Wszystko jednak sprzyściło się przeciwko Strzelcom. Z dosłownie resztką paliwa, jaka im pozostała po inicjującej eksplozji, nie byli zdolni do żadnych bardziej radykalnych zmian kursu. Idąc *de facto* ku Lévie, spadając w ciasne grawitacyjne objęcia gwiazdy, dodatkowo tracili na manewrowości. Dotychczasowe obliczenia jasno wskazywały, że – na skutek niemożliwego do załatania ich własnymi siłami przecieku z holownika – sukcesywnie tracą z zamkniętego obiegu tyle tlenu, iż poduszają się jeszcze przed przybyciem LJO „Felliniego”. *Last but not least* – koldra magnetyczna Lévie zaczynała się giąć i wypaczać sygnalizując rychłą burzę słoneczną; a burze Lévie bywały śmiertelne nawet dla pracujących na orbicie Lizonne, na sygnał alarmu kryli się wszyscy w grubościennych schronach. „Sagittarius” zaś, przeznaczony do operowania w parach z większymi jednostkami i tylko wyjątkowo zabierający na pokład ludzi (na przykład w takich jak ten przypadkach: gdy służył za prowizoryczny wahadłowiec), schronu takowego nie posiadał. Zaiste, nagromadzenie kataklizmów było imponujące, piętrzyły się nad nieszczęsnymi załogantami holownika na podobieństwo sinoczarnych chmur opadowych, każda śmiertelna. Przyglądaliśmy się w podmurabikowymi namiocie twarzom czterech feralnych podróżników ku zagładzie – trzech mężczyzn, jedna kobieta, inżynierowie Rotschilda-Larusa, spoceni i brudni, z siedmiominutowym opóźnieniem dochodziły nas ich otepiąle nieustającym przerażeniem spojrzenia, przez wielki ekran zaglądaliśmy do półmrocznego wnętrza statku śmierci, „Latającego Holendra” próżni, niechrześcijańsko chciwi autentyzmu ich cierpień.

Cała planeta radziła nad ich ratunkiem (notabene: wielki sukces medialny) i pierwsza rada była taka: wykorzystać do osłony przed burzą słoneczną nakursowe planetoidy. Wymacano ich grupę idącą po orbicie wymagającej stosunkowo niewielkiego przyduszenia pędu „Sagittariusia”. Podejście takie było ze wszech miar słuszne: trzeba radzić sobie z problemami po kolei, poczynając od najbardziej palącego. Tak więc holownik dopadł asteroid i usiadł na jednej z nich w miejscu, które – jak zakładano – gwarantowało maksymalne bezpieczeństwo podczas burzy. Nastroju to nikomu nie poprawiło, bo już zupełnie precyzyjnie obliczono opóźnienie „Felliniego” i wszyscy – na czele z czworgiem Łuczników – wiedzieli, że tak sprytne ukrycie się przed gniewem Lévie jedynie odroczyło im egzekucję, i to o niecałe sto osiem godzin. Burza grzmiała w radiodbiornikach – a oni tam z każdą minutą bliżej i bliżej byli śmierci, „Fellini” przybędzie do statku trupów. Żywokrst niemal natychmiast zakwitł był rozwiązaniem oczywistym dla większości Lizończyków i bez jego obliczeń: że mianowicie tego, czego nie starcza dla czworga, dosyć będzie dla trojga. Oni tam w „Sagittariusie” wiedzieli to od początku, wystarczyło zajrzeć im w oczy. Gdyby się zdecydować wystarczająco wcześniej a potem ciągnąć na najniższej krzywej zapotrzebowania energetycznego, to znaczy spać... Wiedzieli doskonale, liczyli godziny i minuty, zarząd R-L wymusił transmisję ciągłą głównie z tego powodu, by nieprzerwaną kontrolą ich poczynąń zapobiec jakimś skrytobójczym zamachom czy desperackim samosądom. Efekt był taki, że nieszczęśnicy przeważnie ponuro milczeli i tylko popatrywali spode łbów to na siebie nawzajem, to na ekrany. Na Lizonne przyjmowano zakłady co do dalszego rozwoju wypadków: przeżyją czy nie; kto konkretnie; co ich zabije; kto zabije kogo; kto załamię się pierwszy *etc.* Wylądowali na planetoidzie: powstało parę

fortun. Nie zabiła ich burza: parę osób zbiedniało. Izmir Predú wyszedł z holownika na powierzchnię asteroidy i zdehermetyzował swój skafander. Cóż, byli tacy, którzy i to obstawiali.

„Fellini” uratował pozostałą trójkę. Zanim się przesiedli do nieuszkodzonej LJO, pochowali Izmira w zimnym, czarnym kamieniu planetoidy. W swym przedśmiertnym nagraniu, dokonanym już po opuszczeniu śluzy, Izmir prosił o pochówek na tym kosmicznym głazie. Żegnał się też wówczas z rodziną i przyjaciółmi i polecał swą duszę Bogu. Psychologowie analizowali później każde drżenie w jego głosie, każde opóźnienie oddechu, każde najbanalniejsze sformułowanie – był poczytalny, czy nie był, przeważała presja, czy też podjął decyzję w pełni świadomie? Już wcześniej reporterzy tropili wstecz życiorysy całej czwórki – teraz wywleczono na wierzch najpierwsze wspomnienia rodziny z dzieciństwa Izmira. Kłopot polegał na tym, że był to najwyraźniej zupełnie przeciętny człowiek. Nawet zważywszy, w jakim kontekście go obecnie wspominało – i tak jawił się w tych sztucznie indukowanych retrospekcjach osobą w niczym szczególnie nie odbiegającą od średniej. Pracownikiem był dobrym; ale nie pękała jego teczka od pochwał. Katolikiem był praktykującym; ale ciężko przychodziło pytanym wynaleźć na poczekaniu przykłady demonstracyjnej jego religijności. Przepęstw i wykroczeń nie popełnił żadnych (o żadnych nie wiedziała lizońska policja). Dowodów uprzedniego rozchwierutania psychicznego też brakowało. No więc co? Kim był Izmir Predú i jak właściwie nazwać jego postępek?

Zwłoki inżyniera pozostały na planetoidzie i tym sposobem obróciła się ona na językach komentatorów w „Izmiraidę”. „Sagittarius” oraz „Fellini” spędziły tam w sumie dosyć czasu, by zebranych o roju danych starczyło dla analizy Centrum Astronomicznego, Rotschild-Larus zażyczył sobie bowiem rachunku kosztów odzysku swego holownika i potrzebował ścisłej predykcji toru Izmiraidy, który – z uwagi na bliskość słońca oraz chaotyczną strukturę roju – nie był dla komputerów pokładowych do końca oczywisty. Jednak żywokryształ logiczny Centrum wbrew oczekiwaniom z pojedynczego krzaczka mimo wszystko prostego układu równań – rozrósł się na dziesiątki metrów i żądał dalszych danych o towarzyszących planetoidach. Nie był to żaden rój, żadne ruchome śmietnisko po roztrzaskanym większym obiekcie – okazywało się, że poruszał się po krzywej wymuszonej a wzajemne położenie należących doń asteroid zmieniało się częstokroć na przekór oddziaływaniom pola grawitacyjnego Lévie. Wszystko wskazywało na istnienie pomiędzy modułami kompleksu planetoid sztywnej więzi o nieznanym charakterze, niwelującej niektóre zewnętrzne wpływy. Pierwszy jasno wyartykułował to doktor Hoan z Centrum, unieśmiertelniając tym samym swe nazwisko. Supozycje dotyczące natury owej więzi ograniczyły się praktycznie do ogólników o egzotycznej materii tudzież egzotycznej technologii (w domyśle: Obcych; dziennikarze to uwielbiali), jako że ani „Sagittarius”, ani „Fellini” nie zarejestrowały tam żadnych fenomenów znanych oddziaływać. Tym bardziej wzrosło zainteresowanie Izmiraidami (nazwa szybko ekspandowała) i ekspedycja do planetoid wydawała się przesądzona.

Jakoż i doszło do niej za kolejnym nawrotem kompleksu (który to nawrót z uwagi na Wektor Hoana nie był zresztą bynajmniej taki pewny). Wśród sponsorów przedsięwzięcia znaleźli się: rząd Lizonne, R-L, CFG oraz NASA. Odbiło się to na doborze członków załogi „Laosu”: rzec, że był racjonalny, znaczyło zełgać w żywe oczy. W skład ekipy wszedł między innymi bratanek wiceprezesa R-L, Stefana Ugerzo; bratanek był astrofizykiem-amatorem, ale umierał właśnie merculożę i wuj chciał mu przed śmiercią zrobić przyjemność. Onże Kotter Ugerzo jest bezpośrednim sprawcą całej afery ze świętością Izmira. W trzecim tygodniu po przybyciu na Izmiraidy ogłosił wszem i wobec, iż Izmir Predú wysłuchał jego modłów i wyprosił cofnięcie się choroby. Kotter ponoć co laosową noc chadzał tam nad grób Izmira (komputer „Laosu” potwierdzał jego wyjścia). Ponoć ozdrowiał w przeciągu trzech dób (diagnoster „Laosu” potwierdzał znaczącą poprawę stanu jego zdrowia). Zanim jeszcze „Laos” powrócił na Lizonne, z uszczęśliwionym i przepełnionym poczuciem misji Kotterem na pokładzie, i zanim specjaliści zweryfikowali wieści o cudownej remisji (a w końcu zweryfikowali, Kotter zaś ozdrowiał zupełnie) –

zanim więc minęło te kilka miesięcy, już ruszył w orbitalnych portach Lizonne potężny przemysł kosmicznych pielgrzymek. Święty Izmir z Planetoid! Pamiętam, że biskupa mało szlag nie trafił. Poszło oczywiście zapytanie do Watykanu, ale tymczasem zostaliśmy tu sami, zamknięci w bańce naszego horyzontu zdarzeń. Byłem przy tym i wiem, z jaką ostrożnością podejmowano decyzje. Pierwsza – omalże odruchowa – reakcja jest zawsze taka sama: „powstrzymujemy się od komentarzy, sprawa wymaga szczegółowych i wolnych od presji oczekiwań badań”. Łatwo podjąć decyzję, trudniej się z niej wycofać; w przypadku Kościoła – praktycznie nie sposób. W efekcie z zasady wychodzimy z pozycji adwokata Diabła, i to jest słuszne. My czekamy; ale świat nie czeka na nas – i zanim się obejrzelśmy, rosła na Rogu ufundowana przez Stefana Ugerzo Katedra.

Jacek Dukaj

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)